



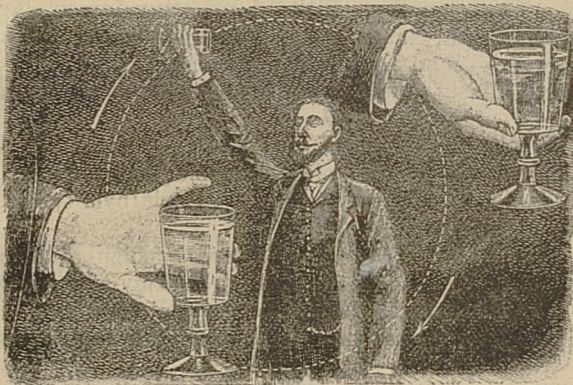
TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).



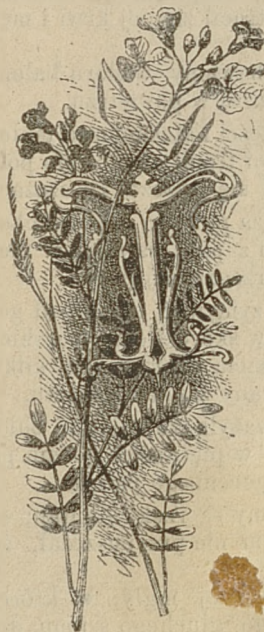
### Doświadczenie fizyczne.

SILA ODŚRODKOWA.

Ktokolwiek jeździł na karuzelu, zauważył zapewne, iż w skutek obrotu powstaje jakaś siła, która zrzuciłaby go z drewnianego konia, gdyby się nie przechylał ku środkowi platformy.

Podajemy tu doświadczenie, w którym głównie działa taż sama siła odśrodkowa. Należy wziąć kieliszek napełniony wodą, w sposób wskazany na rysunku i wyprostowawszy rękę, zakreślać nią w powietrzu koła tak, ażeby wierzch kieliszka w najniższej części koła, był zwrócony ku ziemi. Pomimo to ani jedna kropla wody nie wyleje się z kieliszka, jeżeli tylko dość zręcznie postawi się go na stole. Czyniąc to, należy trzymać kieliszek w sposób wskazany na lewej stronie ryciny.

Nabrawszy wprawę można czynić toż samo doświadczenie z większym naczyniem, to jest ze szklanką napełnioną wodą.



rzymajcie się dobrze! — zawołał, wyrzucając bryły dolorytu, które mi obciążony był balon.

Zaledwie domówił tych słów, gdy aerostat szarpnął się gwałtownie i w mgnieniu oka wleciał ponad otaczające go skały. Wstrząśnienie rzuciło nieprzygotowanego sternika na kupę mokrego mchu; kapitan, który uchwycił za poręcz, widział; jak kotlina zapadła się nagle wprzestrzeni; w kilkanaście sekund potem aerostat wisił już spokojnie po nad lodowcami, opasującymi brzegi.

— Płyniemy na północny-wschód; zawołał Ford wzruszony; — patrz pan... szola!

W istocie, balon przemykał się po nad gładką powierzchnią olbrzymiej kry, którą przed miesiącem przebywali z taką trudnością żeglarze; niebawem ukazał się niewyraźnie, jakby przez mgłę, długi łańcuch gór lodowych.

Kapitanowi zdawało się, iż dostrzegł wśród nich owe fatalne miejsce, które omal nie stało się dla niego grobem. Rychło jednak lodowce znikły; przed wzrokiem Forda i jego towarzyszy rozciągał się chaos lodów palaokrystycznych. Huragan przynosił ponad niemi balon z błyskawiczną szybkością, którą Gromski oceniał w przybliżeniu na 100 kilometrów.



— Przekleństwo! — krzyknął, tupiąc nogą kapitan; — i my potrzebowaliśmy całego miesiąca na przebycie przestrzeni, która teraz została poza nami po upływie kwadransu!?

Wspomnienia daremnych trudów podróży, nadludzkich wysiłków, strasznych chwil, spędzonych we wnętrzu galeryi, zamkniętej przez lody, wydawały się śmiesznymi, wobec oszłamniającej szybkości aerostatu, który, będąc biernym, nieruchomym napozór, przez jedną minutę robił jednak tyle drogi, ile nasi żeglarze pieszo przez dzień cały. Powierzchnia zakutego w lody oceanu kryła się szybko poza ciężkimi oparami; w pół godziny po odlocie, aerostat zanurzył się całkowicie w nieprzeniknionych dla oka czarnych chmurzyskach burzowych, w chwili właśnie, kiedy Ford spodziewał się dojrzeć wolną przestrzeń wody, przed którą niedawno musiał się cofnąć, będąc o 15 kilometrów zaledwie od bieguny południowego.

Znalazłszy się w tej rozrzedzonej, przesyconej wilgocią atmosferze, balon wznosił się pomału; na szczęście temperatura w burzowych obłokach była dość wysoką, inaczej naszym podróżnym groziłby rychły upadek. Inżynier, obawiając się osiadania mikroskopijnych pęcherzyków wodnych na powierzchni swego statku — zapalił wodór pod generatorem, aby zwiększyć siłę wzlotu. Udało mu się to zupełnie; o 7-ej barometr wskazywał 2400 metrów; burzowe obłoki kończyły się pół kilometra zaledwie wyżej.

— Kto wie — rzekł wzdychając sternik — może przelatujemy nad samym biegunem?

— Wątpię — odparł Gromski; — wiatr bowiem niesie nas na północny wschód, a nie na południe.

— To znaczy, że nie wrócimy prosto do Ameryki — proszę pana?!

— Wszystko jedno, mój stary, byle tylko dostać się na stały ląd. Przyznaję, że zgodziłbym się nawet spaść gdzie w Afryce pomiędzy hotentotów.

— Niechby — mruknął marynarz; — zdaje mi się jednak, że lykniemy słonej wody i koniec.

Nasi żeglarze zanadto trzeźwo oceniali swe położenie, ażeby się mieli łudzić; wiedzieli doskonale, że podróż ich nie była niczem innym, jak tylko ostatnią, rozpaczliwą, szaloną próbą. Pomimo to żaden z nich nie tracił zimnej krwi i męstwa.

Gromski nie wiele liczył na pozbawiony wodoru balon, pragnął jednak utrzymać go jak najdłużej w powietrzu.

Na szczęście, dzięki swej objętości i stosunkowo małej powierzchni, statek powietrzny powoli tracił ciepło; do północy zawarta w nim para nie zaczęła się jeszcze zgęszczać.

Pierwsze krople spłynęły z wnętrza powłoki dopiero około 4-ej rano; spostrzegłszy to, Gromski zapalił na nowo w piecu i wpuścił do balonu znaczną ilość przegrzanej pary.

Odtąd musiano bez przerwy utrzymywać ogień pod generatorem; sternik zbierał starannie w skórę słonia morskiego skraplającą się wodę, inaczej bowiem w przeciągu kilku godzin wyczerpałyby się jej zapasy, zabrany zamiast balastu.

Nasi żeglarze z niepokojem zauważyli, że objętość baloniku z wodorem zmniejsza się szybko; w piętnaście godzin po odlocie, inżynier zużył już połowę drogiego paliwa.

— Ciekawym, jak szybko pędzimy — rzekł kapitan; — gdyby nie te czarne chmury, nigdybym nie przypuszczał, że to burza nas unosi.

— W istocie, prócz nieprzeniknionej mgły, w której płuca oddychały z trudnością i pewnego głuchego szumu, dochodzącego z dołu, od wzburzonego oceanu, żadne inne zmiany nie zaszły w najbliższym otoczeniu balonu. Atmosfera wydawała się absolutnie spokojną, nawet grzmoty i błyskawice nie towarzyszyły tej polarnej burzy. Przez nawałę obłoków, kłębiących się pod nogami naszych żeglarzy, nie przebijała się żadna jaśniejsza plamka; inżynier przypuszczał, że w niższych warstwach atmosfery musiał padać deszcz lub śnieg, należało więc trzymać się jak najdalej od nich.

Niedługo jednak inżynier potrafił utrzymać na pożądanej wysokości swój balon; temperatura bowiem spadała znacznie w przeciągu kilku godzin; para skraplała się coraz

obficie tak, że generator musiał funkcjonować bez przerwy. O 10-ej rano, dnia 21-go wyczerpano doszczętnie wodór i niezwłocznie potem barometr począł się szybko zniżać.

Katastrofa przewidywana zbliżała się.

W pół godziny po zagaśnięciu ogniska, sternik, siedzący na podłodze łódki, pociągnął za rękaw Gromskiego i wskazał palcem na kilka kanałków białych płatków, które mu osiadły na ubraniu.

— Śnieg — mruknął przez zęby.

Nastąpiło więc to, czego się najbardziej obawiał inżynier: aerostat znalazł się w najniższych warstwach chmury burzowej, gdzie panowała śnieżycą.

— Dżems, włóż resztę mchu do pieca — rzekł; — inaczej spadniemy.

— To nas nie minie — odparł marynarz, spełniając obojętnie rozkaz.

Mała kupka opału znikła prędko, sternik, wrzuciwszy ostatnią garść do gasnącego ogniska, wrzucił ramionami.

— Teraz kolej na łódkę — rzekł.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, pochwycił nóż i począł nim rozcinać jedwab, oplatający poręcz, inżynier nie przeszkadzał mu.

— Niech pali, czyż to nie wszystko jedno?

Twardy, pokryty krzemionkową powłoką bambus, nie chciał jednak płonąć. Dżems schował więc do kieszeni swój nóż i, założywszy w tyle ręce, począł świstać przez zęby jakąś marynarską piosenkę, której wesoła, hulawcza melodia stanowiła dziwny kontrast ze złowrogim rykiem oceanu.

Kapitan z ponurym spokojem śledził płatki śniegu, wolno spadające w pustą przestrzeń i sadowiące się coraz grubszą warstwą na gładkiej powierzchni aerostatu.

— No, czas pożegnać się towarzysze — rzekł nagle drżącym ze wzruszenia głosem; wkrótce fala zamknie nam usta nazawsze, a nie chciałbym umierać nie otrzymawszy naprzód twego przebaczenia, inżynierze. Mój upór zgubił nas wszystkich — wiem o tem... gdyby... bowiem...

Lecz Gromski przerwał mu żywym gestem, wyrażającym protest.

— Powinieneś pan być zrobić tak — rzekł ze łzami w oczach, oddając uściśnienie dzielnemu marynarzowi. To skromna ofiara na ołtarzu wiedzy... Chciałbym tylko, żeby nie poszła na marne...

— Nie pójdzie! — odparł Ford wskazując blaszaną puszkę. Znajdą to przedziej czy później, bądźmy spokojni.

— Tak — wtrącił Dżems, ocierając nos w swą wielką, czerwoną chustkę; — szkoda tylko, że nie my sami opowiemy o tem.

Et!!

W tym wykrzykniku dźwięczało wszystko, czego stary marynarz słowami nie mógł wyrazić: gorycz, żal, zawód, tłumiona siłą woli rozpacz i jakaś nieokreślona zazdrość, upokorzenie wreszcie...

Smutna ta scena nie trwała jednak długo; nasi żeglarze wnet opauowali swe wzruszenie i, z podniesionem czołem, suchem okiem oczekiwali zbliżającej się śmierci.

Głuchy ryk, targanego huraganem oceanu, coraz wyraźniej dawał się słyszeć, Gromski, wzięwszy w rękę barometr, odczytywał go głośno.

— Ośmset metrów... siedmset...

— Ocean! — rzekł Dżems, przechylając się za poręcz. Równocześnie aerostat wyszedł z gęstej chmury, w której aż dotąd się znajdował; poprzez niezliczone płatki śniegu wirującego w podmuchach orkanu, bystry wzrok mógł z łatwością rozpoznać czarną powierzchnię wzburzonego oceanu i miliony pienistych gór wodnych, przewalających się jedna przez drugą. Na ciemnym tle jego rysowały się ostro liczne, białe sylwetki gór lodowych, miotanych bałwanami; szczegóły tego dzikiego widoku uwydatniały się z każdą chwilą, aerostat bowiem, dźwigając na sobie grubą na kilka centymetrów warstwę śniegu, z prerażającą szybkością zbliżał się ku rozszalałemu żywiołowi.

— Ot i koniec! — mruknął Dżems — kreśląc na czole znak krzyża i odmawiając cichą modlitwę.



Łódka muskała dnem szczyty fali; balon pochyłony na bok, ślizgał się prawie po wzburzonej powierzchni oceanu. Nagle nasi żeglarze uczuli straszne wstrząśnienie, a zaraz potem lodowate zimno we wszystkich członkach. Stało się. Aerostat ujęty przez bałwany, miotał się gwałtownie, drżąc całym ciałem; pod naciskiem wichru kilka razy podrywał się, jak raniony ptak, lecz wnet opadał znowu. Inżynier i jego towarzysze zalewani, oślepieni przez morską pianę, odruchowo chwytali za liny, aby wydobyć się z leżącej na bok łódki.

Po nadludzkich wysiłkach zdołali osiągnąć spodu balonu; ten ostatni, stykając się z zimną wodą, małał w oczach; zawarta w nim para zagaszczała się bowiem gwałtownie.

— Wyżej, wyżej do mnie! — krzyczał inżynier, sadowiąc się w wielkiem wklęśnięciu powłoki.

W tem miejscu był on wolnym od uderzeń bałwanów, mógł nawet widzieć ich szczyty, wznoszące się i spadające miarowo; odzyskawszy straconą na krótko przytomność, spostrzegł, iż balon nie leży nieruchomie, lecz przesuwają się szybko z fali na falę, w kierunku olbrzymiej jakiejś masy, której fantastyczne kontury przebijały niewyraźnie wpośród tumanów śniegu. Kapitan zauważył ją również.

— Góra lodowa! — zawołał.

Zaledwie słowa te przebrzmiały wśród poświstu orkanu, a już pofałdowane cielsko balonu dosięgło lodowca; nasi żeglarze usłyszeli głuchy trzask łamanych bambusów; łódka, zawadziwszy o wystający cypel, utknęła na nim przez chwilę.

Z krótkiego tego momentu skorzystał inżynier; opuściwszy swe miejsce, kilkoma ruchami dosięgnął popękanej, chropowatej powierzchni góry i jednym skokiem znalazł się na garbie, do którego przytykał balon.

Kapitan i Dżems naśladowali go machinalnie.

Skoro tylko jednak dotknęli stopą lodowca, aerostat szarpnął się nagle, wyprostował zgniecione barki i pomknął w przestrzeń jak kula.

Przez czas jakiś widać go było jeszcze, niby wielką czarną plamę na białem tle śnieżycy, poczem zniknął jak mara w pośród nisko zwieszonych chmur.

Inżynier, siedząc na brzegu szerokiej szczeliny, śledził go wzrokiem do ostatniej chwili, poczem ukrył twarz w dłoniach, i zapłakał...

Dziecię jego gieniuszu, jego chwała i sława przepadło nazawsze...

## XVII.

### ROZBITKI.

Lodowiec, na który tak niespodziewane dostali się nasi podróżni, nie przedstawiał wcale bezpiecznego schronienia. Był to wielki, nawpół przezroczysty odłam gleczeru lodowego, poorany głębokimi i licznymi szczelinami, które rozszerzały się za każdym nowym uderzeniem fali. Cała ta masa, przypominająca kształtami jakieś na wpół zrównane z ziemią zwaliska starego zamku, chwiała się na powierzchni rozkołysanego oceanu, jakby lada chwila miała stracić równowagę. Inżynier i jego towarzysze z trudnością utrzymywali się na gołym, płaskim cyplu, obryzgiwanym strumieniami piany; pierwszy lepszy bałwan mógł ich splukać z lodowca. Przewidując to, kapitan oczyma szukał wygodniejszego pomieszczenia. O kilkanaście stóp ponad jego głową cypel ów graniczył z wąską przełęczą, poza którą znajdowało się obszerne wgłębienie, zajmujące środek lodowca; chropowata powierzchnia góry i wystające z niej odłamy skał dawały niezłą podporę nodze. Ford bez namysłu począł się więc wdrapywać ku upatrzonemu miejscu. W kilka chwil potem dosięgnął głębokiej kotliny, do wnętrza której nie docierały już najwyższe nawet fale.

Inżynier i Dżems, zachęceni energicznie przez kapitana, postanowili również spróbować szczęścia; przedsięwzięcie, którego dokonał Ford nie przyszło im jednak tak łatwo; olbrzymi bałwan porwał w swe objęcia, chwytającego odłamki skały sternika i uniosłby go napewno, gdyby nie pomoc Gromskiego.

Korzystając z przerwy pomiędzy natarciem dwóch następujących po sobie fal, dwaj nasi żeglarze dosięgli jednak w końcu wgłębienia, gdzie byli już zupełnie bezpieczni od fal, opłukujących boki góry.

(d. n.)

## DZIEWCZYNA.

Piosenka.

Oj, wesołaż ja dziewczyzna,  
Wszystko mi się śmieje,  
Dla mnie kwieci się dolina,  
Dla mnie wietrzyk wieje;  
Dla mnie wschodzą ranne zorze  
I wieczorne gwiazdki,  
Dla mnie wszystko dałeś Boże  
Na piosnki, powiastki.  
Bo i któżby myślał w świecie  
Przy tym niepokoju,  
O powoju co się plecie.  
Po krzakach przy zdroju,  
I o lichej tej ptaszynie,  
Co w wieczornym chłodzie  
Śpiewa sobie na kalinie  
W matuli ogrodzie?  
Już ja o tem myśleć muszę,  
To mój kłopot cały,  
Żeby w letnią skwarną suszę  
Kwiatki nie zwiędniały;  
Żeby chłopcy nie wybrali  
Małych ptaszek z gniazdzka;  
Zdrój oczyszczam, żeby w fali  
Przejrzała się gwiazdzka.  
Za to od lilii, ruty,  
Kwiatki mam dla siebie  
A ptaszek mnie uczy nuty  
Do pieśni o niebie.  
Od zdroju mam orzeźwienie,  
Tę świeżość poranka,  
A z gwiazd lecą mi promienie  
Jakby srebrna tkanka.  
I tak dobrze, tak mi lekko  
U matki jedynej,  
Ze i nie wiem, jak tam cieką  
Lata, dnie, godziny.  
Czasem tylko, gdy do chatki  
Zła wieść zakofaże,  
To na łonie mojej matki  
Żal nad ludźmi spłaczę.  
Bo chociaż ja tak wesoła,  
Taka śmieszka psotna,  
Lecz i najsmutniejsza z sioła,  
I często samotna.  
Lada co, to mię ucieszy,  
Lada co zasmuci,  
Czasem mała rzecz rozśmieszysz,  
Mała rzecz zakłóci.  
Teraz to mniej śpiewam sobie,  
Mniej skaczę jak dziecię:  
Od czasu jak brat mój w grobie,  
Smutniej mi na świecie.

T. I.

## NA TARG.

Rycina nasza przedstawia indyankę udającą się na targ do Kwito z lucerną na sprzedaż. Nie mogła ona wszakże zostawić samych w domu dwojga małych dzieci, niepodobna też im było za matką podążyć, bo jedno ledwo chodzić zaczęło, a drugie jeszcze w powijaku, nieść oboje na



ręku trudno, poradziła więc sobie inaczej. Przytwierdziwszy na plecach pęk lucerny, usadowiła na nim starszego chłopczyka, młodsze zaś dziecię ujęła w ręce wolne teraz od dźwignia ciężaru.

## MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIĘŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

W słynnym opactwie, wznoszącym się w bliskości miasta Koloswar, zebrali się panowie węgierscy, wezwała ich tam królowa. Już wszystkie miejsca zajęte, Izabelli jeszcze nie ma... Zebrani szepcą, wiedzą że królowa zwołała ich aby im oświadczyć, iż zrzeka się korony w imieniu syna, chce prosić, by zezwolili na to. Jedni boleją nad tem, bo są szczerze przywiązani do domu Zapolyów, bo Niemców nienawidzą; drudzy zaś co radzi, bo zmiana pana, może być dla nich korzystną: Izabelli łask nie posiadają, nowego króla zyskają, może, więc na jednych twarzach malował się smutek, na drugich zadowolenie... Wreszcie ukazała się królowa w progu, za rękę wiodła synka swego, szła poważna, spokojna, za nią z głowami spuszczone postępowali hrabia Temse i Martunizi... Izabella, skinieniem głowy powitawszy zebranych, weszła na

stopnie tronu i nie siadając na nim, odezwała się głosem wzruszonym:

— Panowie, Węgry giną, bo wojna je niszczy, a wojny tej przyczyną jest mój syn. Nie chcemy tego, składamy w ręce wasze koronę, oddajcie ją Ferdynandowi, a ja do mego ojca z dzieckiem powrócę, tam chować je będę w spokoju, mówiąc mu codziennie, że nad blask tronu inne, trwalsze szczęście człowiek zdobyć może: to jest miłość i szacunek ludzki.—Milczenie zaległo salę, przez chwilę zapanowała cisza, panowie szepotali między sobą, nareszcie jeden z nich stanął przed królową:

— Woli twej pani nie możemy się opierać — rzekł chyląc przed nią czoło. — Nie znalazłaś na ziemi naszej szczęścia, królowo, niedziw, że ją opuszczasz; zdobyłaś serca nasze i uwielbienie, gdyż byłaś matką ludu naszego, matką, tkliwą i hojną, wzamian za to korona nasza same ci ciernie dawała, zmuszać cię, byś ją dalej nosiła, nie możemy, czyń jak chcesz.

— A więc żegnam was, panowie — rzekła Izabela i wyciągnęła rękę którą oni kolejno ucałowali...

Królowa rada, iż sejm oporu nie stawiał, postanowiła zaraz następnego dnia uwiadomić o swej decyzji arcyksięcia, a potem udać się do Budy, by tam uroczyście w obec dworu całego złożyć koronę w ręce Ferdynanda. Uwiadomiony o jej zamiarach Ferdynand natychmiast przerwał wojnę, królowa bezpiecznie mogła puścić się w drogę, a przybywszy do Budy nazaczyła księciu dzień widzenia.

W wielkiej zamkowej sali zebrał się dwór cały, przynie-







INDYANKA IDĄCA NA TARG Z LUCERNĄ.

siono koronę św. Stefana i oddano ją w ręce królowej, a gdy Ferdynand wszedł do sali i zbliżył się z pokłonem do królowej, Izabella podniosła się z tronu i podając mu koronę — rzekła:

— Milszy nam spokój nad wszystko, bądź księżem królem Węgier, przestań być wrogiem mego syna.

— Przyjacielem będę mu od dziś — odparł Ferdynand — nigdy niedostatek wam nie dokuczy królowo, nigdy niebezpieczeństwo wam nie zagrozi; orężem i skarbem służyć wam będę zawsze. I odebrawszy podaną sobie koronę, oddał ją jednemu z panów niemieckich, i skłoniwszy się głęboko przed królową odszedł ze swoim dworem. Królewicz głośno zapłakał, kobiety obecne tej ceremonii, miały łzy w oczach, królowa tylko była spokojną. Gdy obcy panowie wyszli z sali, Martinuzi zbliżył się do Izabelli.

— Królowo, uległem twemu żądaniu — rzekł — lecz wiedz o tem, że pracować zawsze będę, by korona węgierska wróciła do twego syna... Złamany tylko nieprzychylnymi okolicznościami uznałem chwilowo Ferdynanda królem i panem.

Izabella w milczeniu dłoń mu uściśnęła, poczem mówić zaczęła o czekającej ją podróży; stanowczo chciała jechać do ojca i tam zamieszkać z Halą, która chcąc zwrócić myśli królewicza do czego innego, opowiadała mu jakąś bajkę, wtem mały odbiegł od niej, pochylił się i coś podniósł z ziemi.

— Mamo patrz, co ja znalazłem! — zawołał śpiesząc do królowej, i wyciągnął rączkę z jakimś błyszczącym przedmiotem.

— To krzyż od korony — krzyknęła Izabella, odebrała dziecku przedmiot błyszczący i podała go podskarbiemu.



— Wistocie, odłamek korony — rzekł Martunizi — musieli go niemy ukruszyć, gdy ją unosili.

Wszyscy obecni otoczyli dziecko.

— Miałożby to być wróżbą pomyślną? — szepnęło kilka głosów.

— Niezbadane są wyroki Boże — odparł biskup — powtarzam raz jeszcze, że usilnie pracować będę, by Zygmunt Zapolya, gdy dorosnie, zasiadł na tronie ojcowskim... Zawieś pani ten odłamek na piersiach syna — dodał, zwróciwszy się do królowej — to jego własność.

Tegoż dnia jeszcze wydała Izabella rozkazy, by czyniono przygotowania do podróży, a gdy wieczorem żegnała się z Halą i Anną, zapytała ich czy z nią pojedą.

— Gdzie ty pani, tam i ja — odparła Hala.

— Ja tego powiedzieć nie mogę — rzekła Anna — wybaczenie, królowo, lecz ja zostanę tutaj: ona wraca do swoich, moją ojczyzną Węgry, tu mogły moich ojców, tu kolebka moja stała, jam tu powinna zostać; ziemia moja w żałobie, bracia moi smutni, nie porzucę ich. Zdala kochać i szanować cię będę.

Anna Kolar innej odpowiedzi dać nie mogła, bo serce miała szlachetne, lecz ze smutkiem ucałowała podaną sobie rękę Izabelli.

\* \* \*

Jerzy Martunizi po odejździe królowej przeniósł się do warownego zamku, który zwał letniem swoim mieszkaniem i tam w samotności wiódł czynne życie, nie ustawał czynić w skrytości zabiegów, by Zygmunt Zapolya zasiadł z czasem na tronie węgierskim.

Dzień był parny, dżdżysty, do nocy było jeszcze daleko, a mrok już zapadał; w gabinecie wielkiego biskupa Warady nu palił się na stoliku świecznik siedmioramienny, on pochylony nad nim, coś pilnie pisał, wtem drzwi skrzypnęły, ktoś wszedł do gabinetu, Martunizi podniósł czoło.

— Kto tam? — zapytał.

— Hrabia Monino z poselstwem od cesarza Niemiec — odpowiedziano mu.

Biskup złożył pióro, zwrócił twarz ku idącemu i dłoń mu na powitanie podał.

— Czego żąda cesarz, odemnie? — zapytał.

— Przyjaźni twojej ojciec wielebny — odparł Monino, chyląc się z pocałunkiem do ramienia biskupa. — Mówił ze mną wczoraj o tobie, ceni cię tak wysoko, iż powiada, że stanicie za 10,000 żołnierzy, że gdybyście mu rękę podali i razem z nim działać chcieli, kapelusze kardynalskie włożyłyby na wasze czoła, arcybiskupstwo Strygońskie stałoby się waszą własnością.

Na twarz biskupa wystąpił wyraz posępny.

— Przyjacielem tego, kto gnębi Węgry, być nie mogę — odparł ponuro. — Zrazu jam myślał, że Ferdynand zdobywszy koronę, której pożądał, o którą tak długo walczył, będzie wspaniałomyślnym królem, będzie dbał o dobro swych poddanych, o to by kraj dźwignął się z niedoli, lecz wprędce przekonałem się, że on, chce z nami postępować... jako zdobywca, Gnębiciel mego ludu przyjacielem mi nie będzie, wiarołomcy szanować nie mogę, a przyjaźń na szacunku się opiera... Wszakże on przyrzekł królowej wypłacać pewną kwotę na utrzymanie, przyrzeczenie to uczynił wobec nas wszystkich, a wczoraj jeszcze otrzymałem list od Izabelli, w którym pisze mi, że gdyby nie ojciec i brat z głodu by jej przyszło umierać razem z synaczkiem... Przyjacielem wroga Węgier i syna Jana Zapolyi nie będę nigdy.

— A nie lękacie się biskupie, by cesarz wrogiem naszym się nie stał? — zapytał poseł, nacisk kładąc na ostatnie wyrazy.

— Boga tylko się lękam — odparł biskup.

Hrabia Monino skłoniwszy się, oddalił, Martunizi ujął pióro, pochylił się nad papierami i znowu cisza zaległa, wkrótce znowu wszedł mąż poważny, w żupanie z szablą u boku, w rękę trzymał czapkę sobolową.

— Witajcie przewielebny biskupie — rzekł zbliżywszy się — przyszedłem zapytać, czy dacie mi listy do królowej.

Martunizi podał mu rękę i dłoń uściśnął.

— Listy, to rzecz niebezpieczna — rzekł — zawieźcie jej kasztelanie, słowa odemnie; powiedzcie, że czynię wszystko, co w mej mocy, by dołą jej poprawić, by do nas jaknajrychlej wróciła. Ferdynand nie dotrzymuje umowy, my też nie obowiązani jemu jej dotrzymać... Odbiorę mu koronę Węgier i synowi Jana Zapolyi ją oddam; a jeśli śmierć nie dozwoli dalej działać, będzie za mnie działał Soliman, sułtan turecki, którego pomocy wezwałem.

— POCO śmierć wspominać?

— Bo nikomu niewiadomo, kiedy ona nas wezwie — odparł biskup.

Kasztelan skłonił się, podali sobie ręce i rozstali, Martunizi ujął za pióro, i począł pisać, cisza wróciła; nie upłynęła godzina, gdy mu pracę znowu przerwano; znowu kroki się rozległy, tym razem trzech mężczyzn weszło do gabinetu. Zastopiony w pracy Martunizi, nie słyszał, jak weszli, oni zatrzymali się w progu, pochylili się ku sobie i coś szepotali; twarze tych ludzi były ponure, coś złego z oczu im patrzyło... Poszeptali chwilę, potem jeden podszedł naprzód, dwaj inni pozostali w odaleniu; ten, co szedł przodem, zbliżył się do biskupa.

— Przyniosłem papiery do podpisania — rzekł, i położył kilka arkuszy na stole.

Martunizi podniósł oczy, spojrział.

— A, to ty Ferare — rzekł.

Ferare, był jednym z urzędników panującego wówczas w Niemczech Ferdynanda. Ferare skłonił się biskupowi, porozumiewając się spojrzeniem z towarzyszymi, którzy stali za krzesłem biskupa, i w tejże chwili jeden dobył nóż z za pasa, drugi szablę z pochwy, i ugodzili w głowę pochyłego właśnie nad papierami biskupa, który padł bezwładny na krzesło.

— Zabity — szepnął Ferare — uciekajmy... I pierwszy ku drzwiom postąpił, za nim podążyli zapłaceni przez Ferdynanda zbójcy, którzy z rozkazu jego przyszli zamordować tego, co wiernym pozostał Janowi Zapolya.

#### IV.

W obszernej komnacie starego modrzewiowego dworu, siedziały dwie niewiasty: jedna lat średnich, pochylona nad krosnami, na których złotem i perłami wyszywała ornat; druga starsza znacznie, skromniej ubrana, na kołowrotku pilnie przędła nici, nie odrywając oczu od swej pracy. Młodsza zaś ciągle od krosien wzrok ku oknu podnosiła i z trwogą zdawała się w dal patrzeć, a tam daleko widać tylko było niebo czarną chmurą zakryte, która zwolna przybierała coraz większe kształty, posuwała się ku słońcu, słońce bladło, coraz niepewniej świeciło, zmrok ziemię ogarniał.

— Tylko patrzeć burzy, a Zygmunta niema w domu — odezwała się młodsza z kobiet, wzrok ku starszej od okna zwracając — lękam się, by go w lesie nie zaskoczyła.

— Bóg czuwa nad sokolikiem naszym, jam o niego spokojna; z tylu niebezpieczeństw on wyszedł, snadź los niezwykły go czeka — odpowiedziała siedząca przy kołowrotku. Jednakże przerwała zajęcie i spojrzała również w okno, a potem już nie kręciła nici, tylko wzięła do ręki różaniec, co u pasa jej wisiał i licząc paciorki, szepotała pacierze.

— Słyszę go — odezwała się naraz — rzenie rumaków i tentent kopyt lecą od lasu.

Młodsza z niewiast była to Izabella, żona Jana Zapolyi, której brat przeznaczył obszerne dobra w swem państwie na mieszkanie i tam już od lat kilku przebywała. Starsza, była to dawna piastunka Zygmunta Zapolyi, która ze swą panią z Węgier przybyła.

Izabella, usłyszawszy że tentent leci od lasu, podniosła się, i stanąwszy przy oknie, nasłuchiwać poczęła, lecz prócz szumu, który wicher niósł od pól, innych głosów nie odróżniała. Starsza kobieta jednakże musiała mieć lepszy od niej słuch, gdyż po chwili ujrzała Izabella na szerokim gościńcu,



ciągnącym się od lasu do dworca, kilku jeźdźców pomiędzy dwoma szerokimi płacami pola, na których złościła się dojrzała pszenica.

— Jada! — zawołała, i twarz jej uśmiech rozjaśnił.

(d. c. n.)

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Pamięta zapewne czytelnik, że Niko na samem już odchodem przyrzekł Mariocie nie przedłużać nad potrzebę pobytu swego w zamczysku. Jeżeli mu się nie przytrafi jakie nieszczęście, jeżeli wymierzone przeciwko niemu pogróżki nie zostaną wprowadzone w wykonanie, to przyrzekał przed wieczorem już być z powrotem. Oczekiwano go zatem, a Bóg jeden wie, z jaką niecierpliwością! Zresztą ani Mariota, ani ojciec jej, ani nauczyciel przewidzieć nie mogli, że przeszkody, które im sama droga stawiać będzie, nie dozwolą im dotrzeć przed nocą na wierzchołek płaskowzgórza Orgallu.

Ma się więc rozumieć, że niepokój jakim przejęci byli pozostali, z każdą godziną wzrastający, przeszedł już wszelką miarę, gdy na zegarze kościelnym wybiła ósma, a nie było wiadać podróżnych. Co to znaczy, że Niko Deck i doktor nie są jeszcze z powrotem po całodzienną nieobecności? Wobec tego nikomu na myśl nawet nie przyszło iść spać do domu przed ich powrotem, co chwila bowiem wydawało się zbranym, że widzą postacie ich w zmięzchu wieczornym na zakręcie drogi majaczące.

Sędzia Kolc i Mariota puścili się nawet na koniec przeryniającej wieś ulicy, tam, gdzie na czatach postawiono pastucha. Stali, patrzyli, zdawało im się czasami, że w dali rysują się jakieś cienie, że poza drzewami coś się ślania, lecz złudzenie to pierchało pochwili. Wąwóz jak zwykle, pustym był zupełnie, rzadko się bowiem zdarzało, aby ktoś z nadgranicznych mieszkańców odważył się przechodzić tędy w nocy. Na dobitkę był to jeszcze wieczór wtorkowy — wtorek zaś, jak wiadomo, był dniem feralnym — nikogo więc nie brała ochota znajdować się po zachodzie słońca pod gołym niebem. Niko Deck szalony chyba być musiał, jeżeli ten właśnie dzień obrał na zwiedzenie zamczyska! Prawdę mówiąc, tak młody leśnik, jak nikt zresztą w całej wsi nie pamiętał rano o tem, że dziś właśnie ów wtorek nieszczęsny.

Ale Mariota o tem tylko myślała nieustannie i Bóg jeden wie, jak straszne obrazy rola w myśli biedaczka. Wyobrażenia przedstawiała jej nużący, uciążliwy pochód, przedzieranie się przez leśne gąszcze Plesy, całodzienną wspinanie się na wyżynę Orgallu. A teraz, gdy noc już nadeszła zdawało jej się, że widzi Nikona w murach zamczyska, i walkę jego z duchami, które stary zamek nawiedzają. Igraszką ich stał się nieszczęsny, ofiarą był na pastwą mściwości ich rzuconą... uwięzić go musiały gdzieś na dnie jakiegoś podziemia... nie żyje już może...

Biedna dziewczyna! co byłaby dała za to, aby móż puścić się śladami Nikona! Skoro jednak było to niepodobieństwem, chciała przynajmniej czekać tu na niego przez noc całą, lecz ojciec nie zezwolił na to i pastucha zostawiwszy na straży, powracali oboje do domu.

Ujrawszy się samą w swoim pokoiku, Mariota dała folę łzom, które ją dławily. Kochała ona z całej duszy poczciwego Nikona, kochała go tem serdeczniej, że leśniczy nie pozyskał jej słowa w tych dziwacznych warunkach, jakie zazwyczaj towarzyszą zaręczynom na Siedmiogrodzie.

Coroku bowiem, na Św. Piotra rozpoczyna się tam „targowica na narzeczonych.” Z całego komitatu zjeżdżają się wtedy dziewczęta porządnie wózkami, zaprzężonymi w jak najlepsze konie; każda z nich wiezie swój posąg, to jest przyodziewek własnoręcznie uprzedzony, usyty i wyhaftowany,

złożony w jaskrawo pomalowanej skrzyni. Przybywają także i młodzieńcy, wspaniale wystrojony, jedwabnemi szarfami przepasani, chodzą po targowicy, pod boki się biorą, dumni i pewni siebie, aż wreszcie wybrawszy dziewczynę, która im się podoba, dają jej obrączkę i chustkę na znak dopełnionych z nią zaręczyn, ślub zaś odbywa się nieco później.

Nie na takiej to targowicy poznał Niko Mariotę, nie na chybił trafił zadzierzgnął łączący ich węzeł. Znali się oboje i kochali od lat dziecińczych i Mariota wdzięczną była za to Nikonowi, że brał żonę z pod ojcowskiego dachu, zamiast ją sobie na rynku wybierać. Ach! ale dlaczego, dlaczego Niko taki był zawzięty, taki uparty, tak nie dający się odwieść od raz powziętego postanowienia? Kochał ją, wiedziała o tem, a jednak nie miała nad nim dosyć wpływu, aby go powstrzymać od wycieczki do tego przekłętą zamczyska.

W jakimże niepokoju i w jakich łzach przepędziła noc biedna Mariota! Nie położywszy się wcale, całą noc prawie spędziła w oknie, co chwila w stronę gór wyglądając. Zdawało jej się, że słyszy głos jakiś szepczący jej;

— Niko Deck nie uważał na pogróżki... Mariota nie ma już narzeczonego!

Było to wszakże złudzenie tylko, bo żaden głos nie mącił głębokiej ciszy nocnej; tajemniczy głos, który dał się słyszeć w gospodzie, nie odzywał się wcale w domu sędziego Kolca.

Nazajutrz, o pierwszym brzasku dnia, cała ludność była już na nogach. Na drodze prowadzącej od tarasu do wąwozu, snuli się ciekawi: jedni zapytywali o nowiny, drudzy udzielali ich. Mówiono, że pastuch Fryk poszedł na zwiady, nie zapuścił się jednak w głąb lasów Plesy, lecz obrał drogę wiodącą skrajem boru, a nie bez powodu to uczynił.

Oczekiwano więc na niego, a żeby prędzej móż się z nim zobaczyć, Kolc, Mariota i Jonasz udali się na sam koniec ulicy przeryniającej wioskę.

Wpół godziny potem ukazał się Fryk w oddali, u samego wejścia do wąwozu; szedł bardzo wolno, co za zły znak uważano.

— No! mów - że, Fryku, czego się dowiedziałeś? Mów! — zaczął sędzia Kolc — gdy zbliżył się pasterz na odległość głosu.

— Nic nie wiem i nic nie widziałem! — odparł Fryk.

— Nic! — szepnęła biedna Mariota, której oczy napełniły się łzami.

— O wschodzie słońca — prawil pastuch — zobaczyłem o jakie pół mili stąd dwóch ludzi. Z początku myślałem, że to Niko Deck i doktor, ale to nie oni.

— Wiesz - że jacy to ludzie? — spytał Jonasz.

— Dwaj jacyś podróżni, którzy wczesnym rankiem przeszli granicę wołoską.

— Mówiłeś z nimi?

— Tak.

— Czy zatrzymują się we wsi?

— Nie; idą w góry; dziś przed południem stanąć chcą na wierzchołku Retyezatu.

— Turyści jacyś? — spytał sędzia.

— Zapewne; na to wyglądają.

— A dziś w nocy, przybywając wąwóz Wulkanu, nie dostrzegli w stronie zamku?

— Nic dostrzedz nie mogli, znajdowali się bowiem z tamtej strony granicy

— Nie masz więc żadnej wiadomości o Nikonie?

— Boże mój, Boże! — biedna westchnęła Mariota.

— Zresztą za kilka dni sami będziecie mogli wypytać tych podróżnych — dodał Fryk — bo mają zamiar zatrzymać się w Werscie przez kilka godzin.

— Był tylko nikt im nie powiedział nic złego o mojej gospodzie! — westchnął niepokieszony Jonasz. — Gotowi jeszcze, zamiast u mnie, pod gołym niebem popasać.

(Od trzech dni już trapiła Jonasz ustawicznie obawa, że żaden podróżny nie ośmieli się już teraz nocować *Pod królem Matyaszem!*)

Ostatecznie, pytania i odpowiedzi zamienione pomiędzy pastuchem a jego panem, w niczem nie wyświetliły położenia.



Ponieważ ósma już była rano, a młody leśniczy i doktor Pa- tak dotąd się jeszcze nie pokazali, czy można było mieć jesz- cze nadzieję, że powrócą kiedykolwiek? Wiadoma to rzecz, że nie można zbliżyć się bezkarnie do tajemniczego zamczyska!

Złamana wzruszeniami bezsennie spędzonej nocy, Ma- riota nie mogła już ustać na nogach; omdlewająca prawie, nie miała siły iść i w pół ją niosąc, doprowadził ją ojciec do do- mu, gdzie gwałtownym wybuchnęła płaczem... Rozdzierają- cym głosem wołała Nikona... iść za nim chciała... szukać go... aż serce bolało słuchać ją i obawiać się należało, czy nie zachoruje z płaczu.

Potrzeba jednak było coś postanowić i nie tracąc ani chwili, iść na pomoc leśniczemu i doktorowi. Że czyniąc tak, narazić się można na niebezpieczeństwo, na spotkanie z miesz- kańcami zamczyska, (a mogły być niemi nadprzyrodzone jakieś istoty!) mniejsza o to; przedewszystkiem dowiedzieć się trzeba, co się stało z Nikonem oraz z doktorem. Za obo- wiązek uważali to sobie nietylko ich przyjaciele, lecz w ogóle i wszyscy mieszkańcy wioski; najodważniejsi gotowi byli nawet zapuścić się w bory Plesy i dotrzeć do podnóża zamczyska.

Po wielu rozprawach i naradach, pokazało się, że tych najodważniejszych jest trzech tylko: sędzia Kolc, pastuch Fryk i karczmarz Jonasz — ani jednego więcej. Nauczyciel Hermod dostał nagle napadu podagry i pozostać musiał w izbie szkolnej, z nogą na krześle wyciągniętą.

Około dziewiątej, sędzia oraz dwaj jego towarzysze, na wszelki wypadek dobrze uzbrojeni, wyruszyli wawozem, po- czem skręciwszy w tem samym miejscu, gdzie Niko wczoraj, zapuścili się w gęstwinę boru.

Nie bez racji bowiem pewni byli, że jeżeli dwaj wędrow- cy wracają już do wsi, to iść muszą tą samą drogą, którą wczoraj przebywali, drogę tę zaś łatwo poznać było po śła- dach, jakie idąc wczoraj zostawili.

Po odejściu trzech podróżnych w usposobieniu pozo- stałych zaszła nagle zupełna zmiana. O ile przed godziną zdawało się koniecznością, aby kilka osób dobrej woli udało się na poszukiwanie zaginionych, o tyle teraz, gdy osoby te w drodze już były, znajdowano, że to nierostropność, na jaką wyrazu niema! Co komu z tego przyjdzie, że zamiast jedno- go nieszczęścia, będą dwa? Niewątpliwą było rzeczą, że leśniczy i doktor padli ofiarą swojej śmiałości, potrzebaż jesz- cze aby sędzia, Fryk i Jonasz narażali się poświęcając się dla nich? Po co i dlaczego biedna Mariota opłakiwać ma ojca tak, jak już opłakuje narzeczonego, po co i dlaczego przyjaciele pastucha i karczmarza mają sobie ich śmierć wy- rzucać?

Ogólne przygnębienie zapanowało teraz na wsi i słusz- nie zdawać się mogło, że nie tak prędko przeminie. Przy- puściwszy nawet, że im się nic złego nie stanie, sędzia i jego towarzysze nie mogą z wycieczki powrócić przed nocą.

Jakież było więc zdziwienie mieszkańców Werstu, gdy około drugiej południu, ujrzano ich na zakręcie drogi! Z jakimże pośpiechem uwiadomiono o ich powrocie, Mariota wybiegła na ich spotkanie!

(d. c. n.)

## HOMONIM.

przez Ewę Maryę.

Kiedy wyniosła, wzdardliwa,  
Cechą pyszałków bywa;  
Gdy śmiało podnosi skronie  
W godności ludzkiej obronie,  
Zwie się przymiotem. Z odmianą pewną  
Znaczenia, pieśnią jest cichą, rzewną.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Iskierka elek. dla Rybki z T.

Z następujących sylab : Za—mag—kon—ga—ga—na—  
ron—ri—ja—bal—kob—di—i—srze—nau—nia—di—wa—  
du—lau—na—fer—jec—o—i—da— ułożyć wyrazy, których  
środkowy rząd i środkowe litery utworzą imię i nazwisko te-  
goczesnego, sławnego rachmistrza. Znaczenie wyrazów :

1. Samogłoska.
2. Dawniejsza nazwa mędrca i czarodzieja.
3. Zgromadzenie klasztorne.
4. Rzeka we Francji.
5. Nazwisko włoskiego bohatera.
6. . . . .
7. Dopływ Wisły.
8. Dopływ Wisły.
9. Figura w szachach.
10. Nazwa poezji lirycznej.
11. Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

## PYTANIA :

Tylko od wysokości z jakiej spadają w przestrzeni po- zbawionej powietrza, a nie od ich wielkości. Fizycy przeko- nali się, że wielka ołowiana kula i ziarno srońtu, zrzucone z pewnej wysokości, równocześnie, razem spadną na ziemię. Szybkość ich wzrasta proporcjonalnie do kwadrata z wyso- kości; to znaczy, że kamień np. spuszczoney z wieży dwa razy wyższej, nabierze wkońcu szybkości 4 razy większej i z wieży 3 razy wyższej — będzie miał szybkości  $3 \times 3 = 9$  razy zna- czniejsza i t. d. To nam objaśnia, np. dlaczego niebezpieczniej jest spaść z wysokiego drzewa, aniżeli z niskiego.

Łamigłówki w wiatraczku :

1. Kalina.
2. Topola.
3. Cebula.
4. Sałata.

Szarady: Bal — daszek.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraiu i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚC: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego. — Dziewczyna, wiersz p. T. L. — Przystań Towarzystwa Wioślarskiego w Warszawie (drzeworyt). — Na targ (z drzew.) — Mały królewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Tajemniczy zamek. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Skowronek (z drzew.) — Skarbonka Feluni, wiersz p. Helenę Bojarską. — Rozmowa z wujaszkiem. — Pocięcha wiersz. — Królowna, opowiadanie ciotki Maryni. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie przekład T. P.



# WIECZORY RODZINNE.

## SKARBONKA FELUNI.



Felunia ma skarbonkę, składa w nią potrosze  
Rozmaite pieniążki: złotówki i grosze,  
Składa, gdy co dostanie od mamy lub tatki  
Na swe własne potrzeby, na własne wydatki.  
Czasem dziadzio coś wrzuci, babunia dołoży,  
Kasa czasem się zmniejszy, to znów się pomnoży.  
Są niekiedy i pustki w skarbonce dziewczeczki,  
Wyszły wszyściutkie grosze, wszystkie złotóweczki...  
A na co też Felunia wydać tyle może?  
Na zabawki?... przysmaczki?... o! gdzież tam, mój Boże!  
Ona dla siebie nigdy i grosza nie bierze,  
Lecz nad losem biedaków litując się szczerze,  
Im oddaje to wszystko; ją tak serce boli,  
Gdy widzi kogo w nędzy, w smutku i w niedoli,  
Że każdemu chce pomódz, każdemu dać rada,  
I w tym celu pieniążki do skarbonki składa.  
Niejeden nieszczęśliwy do niej się ucieka:  
To nędzarz schorowany, to biedny kaleka,  
To sierotka — nieboga szuka wsparcia u niej,  
Bo wszyscy znają serce poczciwej Feluni.  
A ile też do nieba modłów za nią plynie!  
O! Stwórca wszystkie słyszy, daje też dziecinie  
Dobre zdrowie i szczęście, łaskę Swoję zsyła  
Dzieweczka wzrasta w cnotach, wszystkim droga, miła.

*Helena Bojarska.*

## SKOWRONEK.

Skowronek, nazywany śpiewakiem roinika, jest jednym z najprzyjemniejszych ptaszków. Upierzenie jego szaro-popielate, skromne; za całą ozdobę służy mu skromny czubek na główce.

Skowronek zjawia się w początkach kwietnia lub w końcu maja; gnieździ się pospolicie w polu, gdzie ściele sobie gniazdko najczęściej ukryte w zagłębieniu gruntu lub w bruzdzie, pomiędzy zagonami. Lata dużo, lubi wzbijać się wysoko i ważyć na jednym miejscu. Śpiewa unosząc się w powietrzu, ma głosik nadzwyczaj przyjemny i donośny; piosenkę nucąc modeluje je umiejętnie i harmonijnie; ku jesieni milknie.

Można go spotkać na otwartych równinach, obsianych zbożami; podrywa się tam przechodniowi nieraz z pod nóg samych i ulatuje, żywo zakreślając nieregularną falistą linię, tak, iż trudno byłoby trafić go śrutem.

U nas ptaszek ten cieszy się względami ludu, jest też starannie szanowany. Zagranicą wszakże, zwłaszcza we Francyi polują nań, gdyż posiadać ma bardzo delikatne i smaczne mięso, poszukiwane do jedzenia.

## ROZMOWA Z WUJASZKIEM.

(Dokończenie).

— A ja — rzekł Kazio, dałbym najwięcej temu, który worek znalazł na drodze.

— A to dlaczego?

— Bo on był jego właścicielem.

— Tak sądzisz? Otoż mylisz się, bo worek należał do tego, który go zgubił. Gdybyś np. znalazł worek z pieniędzmi, czy byłbyś przez to jego właścicielem?

— No, nie; ale przecież jabłka to nie pieniądze.

— Zapewne, ale niemniej przeto mają pewną wartość i najlepszym tego dowodem to, że się spierano o ich posiadanie. Worek nie był własnością tego, który go znalazł, nie miał on więc prawa przywłaszczać go sobie. A co zaś do pustelnika, znajdujecie więc, że postąpił niesprawiedliwie?

— Tak wujaszku — odpowiedzieli obaj chłopcy.

— Przypuściwszy jednak żeby rozdzielił jabłka na równe części, cóżby stąd wynikło?

— Każdy byłby zjadł co dostał.

— I nie miałyby w tem żadnej zasługi.

— Zasługi? — zapytał Kazio.



— Tak, bo niema zasługi w jedzeniu tego co lubimy.

— Ale zawsze jest to przyjemność.

— Być może, ale nie największą z przyjemności jaką mieć mogły te dzieci, które jabłkami sowicie obdarzone zostały. Czy rozumiecie co chcę przez to powiedzieć?

— Nie wujaszku — odezwał się Kazio, podczas gdy Miecio słuchał w milczeniu co wujaszek powie dalej.

— A więc widzicie, że większą przyjemnością jak jeść jabłka, było dla dzieci które miały dobre serca, mózdz podarować je tym, którzy nic nie dostali. Uczucie zaś wdzięczności i przychylności dla towarzyszy, którzy się dzielili z nimi upragnionym przysmakiem, obudzające się w sercach tych, których pustelnik nie obdarzył; przyjemniejsze było aniżeli zjedzenie jabłka. Pobożny pustelnik pragnął rozbudzić w dzieciach podobne uczucia i dlatego podział jego był dobrym, choć się wam wydał niesprawiedliwym.

— Ale podział pustelnika mógł obudzić także złe uczucia, bo dzieci, które nic nie dostały, czuły zawiść dla drugich — rzekł Miecio.

— Nie wszystkim dzieje się jednakowo na świecie i należy się przyuczyć zawczasu do tego, że napotkamy w życiu szczęśliwszych od nas, uczmy się więc znosić cierpliwie wszelkie niepowodzenia. Jest to zgadzanie się pokorne z wolą Bożą, w tych więc nieobdarzonych pustelnik pragnął zaszcześcić podobne uczucie — odparł wujaszek, i obaj chłopcy jak zwykle przekonani zostali o prawdzie tego, co znów usłyszeli.

## POCIECHA.

Okrągłutka, rumiana,  
Uśmiechnięta pieszczotka,  
Do wieczora od rana  
Szczebiotliwa a słodka.

Wszystkich oczkiem niewoli,  
A nie płacze inaczej,  
Chyba drugich coś boli,  
Chyba łezki zobaczy;

Oto mamy pociecha!...  
Nawet kiedy zadrzemie  
Jeszcze śpiąc się uśmiecha:  
Zgadnijcie więc jej imię!

## KRÓLEWNA.

Opowiadanie Cioci Maryni.

W zimny i słotny dzień lipcowy, Różia wyglądała oknem, zachmurzona, jak niebo pokryte szaremi obłokami.

— Ach, co za smutny dzień — mówiła do starszej siostrzyczki Zosi — deszcz padać nie przestaje i nie pójdziemy zbierać malin do ogrodu. Dziś święto, lekcye już umiem, co tu robić?

— Wiesz co — odpowiedziała jej Zosia — Ciocia Marynia mówiła mi, że czytała śliczną bajkę o wróżce i jednej dziewczynce, którą się ta wróżka opiekowała, poprośmy, aby ją nam teraz opowiedziała.

— Ach dobrze, ja tak lubię bajki! prośmy ją zaraz...

Zaledwie Zosia wypowiedziała te słowa, drzwi się otworzyły i weszła bardzo miła młoda osoba, do której obie dziewczynki podbiegły wołając;

— Ciociu Maryniu, mamy do ciebie wielką prośbę!

— Jakąż to? — rzekła z uśmiechem ciocia.

— Opowiedz nam tę bajkę o wróżce, którą czytałaś; dziś nam tak smutno, bo deszcz pada — rzekły razem obie dziewczynki, rzucając się na szyję cioci.

— Ależ dobrze i owszem, właśnie myślałam sobie o bohaterce tej powiastki, gdy Różia wczoraj kaprysiła trochę...

— O, ciociu!... — rzekła Różia zarumieniona.

— No, nie mówmy już o tem, słuchajcie lepiej mego opowiadania.

I usiadłszy na kanapce, mając obie dziewczynki obok siebie, ciocia Marynia rozpoczęła opowieść swą w te słowa:

W dużym, pięknym domu mieszkali bardzo zamożni ludzie, mający córkę jedynaczkę, którą nad życie kochali. Istotnie, Helenka była ładnym i zdrowym dzieckiem; miała niebieskie oczy i długie jasno-blond włosy tak, że ludzie obcy mówili nieraz, iż brak jej tylko skrzydełek a byłaby podobną do aniołka. Ale wszyscy znający ją bliżej, wiedzieli, że miała ona wiele brzydkich wad, i że często zasługiwała na gniew ojca lub matki. Ile razy sprzeciwiano się jej życzeniom, dąsała się i grymasiła, ile razy matka zażądała od niej jakiej przysługi, spełniała ją bardzo niechętnie; bawiąc się z innymi dziećmi, sprzeczała się z niemi, biła je i popychała, a na uczynioną sobie uwagę odpowiadała zawsze niegrzecznie. Przy czesaniu i ubieraniu ani chwili nie stała spokojnie, a jeżeli bona przytrzymała ją za rękę, krzyczała jak gdyby jej robiono co złego. Była też bardzo swawolną: wdrapywała się na drzewa i płoty, walała i darła sukienki tak, że czasami trzeba ją było przebierać po parę razy dziennie. Przy obiedzie nie chciała jeść to jednej, to znów drugiej potrawy, ale zostawiała jedzenie na talerzu grymasząc, że niesmaczne. Jeżeli zaś podano to co lubiła, wtedy jadła bez umiarkowania i często przyplącała swoje łakomstwo chorobą. Podczas nauki czytania oglądała się na wszystkie strony, przekręcała litery a w kajecie jej więcej było plam atramentu niżeli liter. Nie dosyć na tem; Helenka była bardzo prózną: z pogardą patrzyła na dzieci ubogo ubrane i pyszniła się tem, że ojciec jej był jednym z najbogatszych obywateli w mieście. Pomimo wszystkich tych wad, Helenka miała przecież bardzo dobre serduszko: nieraz żałowała szczerze swego postępowania i ze łzami przyrzekała poprawę, czasami nawet przez kilka dni z rzędu bywała grzeczniejszą, ale potem popadała znów w dawne błędy.

Pewnego dnia przyjechał z zagranicy wujaszek, będący zarazem chrzestnym ojcem Helenki i przywiózł jej prześliczną, ogromną lalkę. Lalka ta była zrobiona tak



sztucznie, że mogła zginać ręce i nogi, zamykać i otwierać oczy a za naciśnięciem sprężyny mówiła wyraźnie: mama, tata! i kilka innych wyrazów. Przytem była prześlicznie ubraną. Suknia z jasno niebieskiego atlasu okrywała wysmukłą jej postać; na główce pokrytej puklami jasno blond włosów mały wianuszek z białych róż, z pod którego spływał na plecy biały welon z tkaniny cieniutkiej jak pajęczyna. Szyję jej otaczał naszyjnik z kamyków, które rzucały ogień jak brylanty. W rękę trzymała lalka bilet wizytowy, na którym wypisane było dużemi, złotemi literami: „Dla grzecznej dziewczynki.”

Zobaczywszy tę prześliczną lalkę, Helenka nie posiadała się z radości. Wskoczyła wujowi na kolana, zarzuciła mu rączki na szyję, dziękując serdecznie za jego dobroć. Przeczytawszy napis na bilecie, zaczerwieniła się wprawdzie, bo sumienie wyrzucało jej, że nie zasługuje na nazwę *grzecznej dziewczynki*, to też przyrzekła sobie w duchu, że odtąd będzie zawsze dobrą i posłuszną. Przez cały dzień Helenka ani na chwilę nie rozstała się z lalką, której nadała imię Królowny. Wieczorem idąc spać, przystawiła do swego łóżka krzesło, położyła na niem jedwabną kołderkę i ułożyła do snu Królownę, która natychmiast zamknęła oczki.

Helenka także usnęła wkrótce. I oto śniło jej się, że zamiast lalki widzi siedzącą na krześle jakąś nieznaną panią, którą otaczała dziwna jasność, napelniająca cały pokój. Pani ta była ubraną zupełnie tak samo jak Królowna, naszyjnik jej tylko był piękniejszy i złożony z kamieni tak dużych jak orzechy laskowe. Chociaż nieznaną pani miała bardzo łagodny wyraz twarzy, Helenka przelęknęła się ujrawszy ją i chciała już schować główkę pod kołdrę, gdy nieznaną odezwała się:

— Nie lękaj się, Helenko i posłuchaj mnie uważnie. Nazwałaś mnie wczoraj swoją najlepszą przyjaciółką, chciałabym nią na zawsze pozostać.

— Ach! — zawołała Helenka — ja tak nazwałam moją lalkę! Niech mi ją pani odda! Pani jest osobą dorosłą i nie będzie chciała bawić się ze mną. Gdzie moja lalka? Gdzie moja lalka? — To mówiąc, Helenka zakryła twarz rączkami i wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się — z uśmiechem pocieszała ją piękna pani. — Za chwilę odzyskasz twoją lalkę, ale przedtem posłuchaj tego, co ci mam do powiedzenia. Jestem potężną wróżką, mieszkam na jednej z tych jasnych gwiazd, które nieraz wieczorem widzisz błyszczące na niebie. Ilekroć zapragnę zstąpić na ziemię, okrywam się chmurą i w mgnieniu oka przenoszę się tam, gdzie obecność moja jest potrzebną. Oprócz nas, dobrych wróżek, które staramy się pomagać ludziom, istnieją także złośliwe czarownice, które szkodzą im na każdym kroku. Oddawna już jestem twoją opiekunką. Kiedy pewne znaki w powietrzu, które my tylko rozpoznąć umiemy, zawiadomiły mnie, że twoi rodzice mają małą córeczkę, natychmiast stanęłam nad twoją kołyską, dotknęłam cię łodyżką lilii, dałam ci zdrowie, urodę i dobre serce. Chciałam jeszcze dodać łagodność i cierpliwość, bo te dwa przymioty są najpiękniejszą ozdobą kobiety, gdy nagle ukazała się moja nieprzyjaciółka, zła wróżka Farmala. Syknęła ze złości widząc, że ją uprzedziłam i potrąsając nad twoją kołyską laseczką,

obwiniętą wianuszkami z trujących roślin, wyrzekła z gniewem: „Przez ciebie nie mogę już uczynić tego dziecka chorem ani brzydkim, ale do twoich darów dołączę swoje, które wzrastając powoli w sercu dziewczynki, zespecą jej ciało i duszę”. Uderzyła trzykrotnie laseczką o kołyskę i zawołała: „Córko ziemi! Składam ci w darze zarozumiałość, pychę, próżność i lenistwo.” To powiedziawszy, znikła, a ja długo jeszcze stałam przy tobie i przyrzekłam, że zawsze czuwać będę nad tem, aby szkodliwe dary Farmali nie zagłuszyły przymiotów, które otrzymałaś odemnie. Rosłaś w lata, zdrowa i silna, serduszko twoje skłaniało się do dobrogo. Ale nie zawsze postępowałaś tak, jak ci doradzał głos serca; bardzo często słuchałaś złych podszeptów niedobrej Farmali: odpowiadałaś hardo matce, dokuczałaś służącym, niszczyłaś ubranie, ziewałaś nad zadaną lekcją. Patrzyłam na to ze smutkiem. Przez długi czas zastanawiałam się w jakiby sposób cię ocalić, wreszcie przyszło mi na myśl, czy nie mogłabym ciągle być przy tobie, aby cię ostrzedz, ile razy zrobisz coś złego. Ale nam, wróżkom, niewolno pokazywać się ludziom w naszej prawdziwej postaci. Otóż przez miłość dla ciebie przemieniłam się w lalkę, podsunęłam twemu wujowi zamiar kupienia mnie i jestem teraz u ciebie. Pamiętaj, Helenko, że będę musiała pokutować ciężko za każdy twój zły postępek”.

Obudziwszy się nazajutrz rano, Helenka spojrziała natychmiast na krzesło. Wróżki nie było ani śladu a na krzesle leżała Królowna z zamkniętymi oczyma. Dziewczynka wzięła ją na ręce i ucieszyła się bardzo zobaczywszy, że lalka otworzyła oczy.

— Czy to być może abyś ty była wróżką? — mówiła i nacisnąwszy sprężynę z radością słuchała głosu lalki, potem rzekła sama do siebie: Jakże ja dziwny miałam sen! Nie powiem o tem nikomu ani słowa, bo dokuczano by mi, że wróżka gniewać się na mnie będzie.

Uczesała się i ubrała bez grymasów i przez cały dzień była grzeczniejszą niż zwykle. Ale wieczorem, gdy służąca chciała przygotować do herbaty na stole, przy którym Helenka się bawiła i poprosiła ją o ustąpienie miejsca, dziewczynka po swojemu odpowiedziała jej szorstko. Wyobraźcie sobie jej zdziwienie, gdy w chwilę potem spostrzegła, że jeden z kamyków w naszyjniku lalki stracił blask i wyglądał jak zardzewiały kawałek żelaza. Helenka próbowała go oderwać, ale osadzony był tak mocno, że w żaden sposób dokazać tego nie mogła.

— Co tu zrobić? — pomyślała — ot, wsunę ten brzydki kamyczek pod welon, to nikt go nie zauważy. Z pewnością ta niezgrabna służąca niosąc karafkę musiała rozlać wodę i dlatego kamyczek szerniał.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Pierwsze z wiosną wodą płynie  
Drugie wielkie zgromadzenie,  
Wszystko razem gdy się zbije  
To raz kraje, to znów szyje.



## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Rosa majowa dla swej nauczycielki p. M.

Z następujących sylab: A—na—sa—ro—i—sa—ka  
—cio—ra—gos—san—sa—nicz—li—jac—o—żec—ra—  
no—dra—wo—a—ka—sa—bia— ułożyć wyrazy: 1. Roślina z rodziny jaskrowatych. 2. Miasto na Korsycej. 3. Roślina z rodziny przewierceniowatych, wspominana często w poezji. 4. Miasto w Hiszpanii. 5. Rzeka w Niemczech. 6. Zwierzę z rzędu gruboskórnych. 7. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 8. Kraj w Azji. — Początkowe litery tych wyrazów utworzą nazwę królestwa, należącego do cesarstwa niemieckiego.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go

Szarady: Kra — szew — ski.

## Łamigłównki kryształowej:

Z  
M A k  
K o M a r  
Z a m B e z i  
O n E g a  
Ł Z y  
I

## Skrzynka do listów.

Redakcyja pozwoliła mi napisać do was, moi drodzy czytelnicy słówko o właściwych tej porze roku uroczystościach, których mi pozwólono być zachwyconym świadkiem, w nagrodę, że mi dobrze poszły egzamina. Gołąbka, która zawsze o wszystkich myśli i pamięta, a wielkie ma w domu uważanie, powiada do mamy: „Wie mama nim Jaskółka pojedzie na wieś, możeby dobrze było niech się trochę zabawi? — „Zapewne — odpowiada mama — chciałyby jej sprawić przyjemność za to, że dobrze zdała egzamin. Ale czym? Powiedz-no Gołąbko, pewno masz już projekt gotowy? (Słyszałam całą rozmowę wybornie, przebierając w drugim pokoju poziomki na konfitury.)

— A więc wiesz co? Wezmę was obie na Wianki. Możebyś tego chciała?

— Dla Jaskółki...

— O, ja wiem, że ty dla siebie nigdy o nic nie prosisz... I ma rację mama; Gołąbka tak przywykła wyręczać ją, dopomagać, wiedzieć o wszystkim w domu, że ani jej na myśl nie przyszło aby ona na wianki pójść mogła teraz, kiedy w domu mnóstwo jest roboty: bo to i ojciec wyjeżdża za granicę i przenosić się mamy i suknie letnie się szyją. No, ale mama od tego, żeby tej prawej ręce matki nie stała się krzywdą, więc zabiera nas obie na Wianki... Radość wielka, cieszy się nawet Gołąbka, a ja! pod sufit skaczę z radości. Ale nazajutrz rano zamiast radości, strach! po niebie snują się chmury, upał taki, że odetchnąć trudno, już myślałam, że burza przeszkodzi zabawie. Nie było burzy jednak i koło 8-jej ruszamy ku Wiśle, a z nami—śmiało powiedzieć mogę—cała Warszawa.

Wejście od Bednarskiej ślicznie urządzone: brama cała z zie-

leni, przystań Towarzystwa wioślarskiego zielenią i lampionami ubrana, a na brzegu, na moście, na bulwarze, na uwijających się po Wiśle statkach parowych i łodziach, wszędzie tłumy ciekawych.

Uroczystość rozpoczyna się korowodem łodzi, potem przesuwa się pojedyncze kappy z wiankami stowarzyszeń. Prześliczny wianek cyklistów, których łódź wygląda jak bukiet pływający, wianek cechu kowali, stolarzy, Towarzystwa mazyckiego i subiektów handlowych, młynarzy z czerwonym o białych skrzydłach wiatrakiem, transparent z „Merkurym” ciągle sypiący ślicznymi ogniami sztucznymi i... czy ja już zresztą wiem jakie? Wszystkie prześliczne były! A najpiękniejsza ze wszystkiego to iluminacyja z różnobarwnych światełek, przesuujących się po wodzie i w niej odbitych, ale odbitych stokrotnie, jak w przeczystem a ruchomem zwierciadle, albo w szkle rzuńtem, które jasność odbija i na tęczowe ogniki ją rozszepia.

Nie! stanowczo jednak najpiękniejszy to był wianek Towarzystwa Wioślarskiego. Czego tam nie było? zieleń, kwiaty, flagi, wioślarze, piękne panie, ognie bengalskie, światło elektryczne, wianki, które panie rzucały do wody, cyfra i godło Towarzystwa, a wszystko to razem czarodziejskie czyniło wrażenie. Myślałam, że na tem koniec, bo już mnie aż oczy bolą! wtem wysuwa się żywy obraz, przedstawiający „Wisłę” a koło niej mnóstwo postaci w charakterystycznych kostiumach, słysząc się daje śpiew „Dudy” wioślarskiej i znowu obraz, ale już ostatni: „Sobótki”, z tańcami i śpiewami. Wróciliśmy po północy. Mama była zdania, że to trochę za długo, bała się, czy się nie pozazębiamy nad wodą, ale jąbym była siedziała do rana i zdaje mi się, że Gołąbka także.

Na drugi dzień zdawało mi się, że po wczorajszych cudownościach na nic już chyba patrzeć nie warto i choć „pasyami” lubię ogród Botaniczny, nie spojrzałam nawet na nic podczas przedwieczornej przechadzki, bo ciągle miałam na oczach Wisłę, łodzie, światła...

Dosyć też obojętnie przyjąłam propozycję Gołąbki, żeby z nią pójść na konkurs kwiatowy, w sobotę. „Cóż ja tam zobaczę?

— Kwiatów pełno i śliczne! — odparła Gołąbka, która dla lada kwiatka gotowa pójść pieszo pod biegun — przekonasz się, że warto pójść... — Hm! chodźmy — rzekłam niebardzo przekonana a prawdę mówiąc, zgodziłam się pójść dlatego tylko, że Gołąbka nie byłaby poszła bezemnie, nie chciałam zaś pozbawić jej przyjemności. No! nie pożałowałam, żem poszła! Wyobraźcie sobie tylko pełną salę koszów kwiatowych z rozmaitemi godłami, po których (zupełnie jak w naszych konkursach) rozpoznawać potem miano autorów! Jeden zawiera róże, lilie, storczyki, fuksy — myślicie może, że na płask ułożone w koszu? Bynajmniej! z tych wszystkich kwiatów uwita piramida... aż bije od niej wonia, aż mieni się tęcząwą grą barw różnych. Dalej inne koszyki, większe, mniejsze, pojedyncze, złożone z sobą, i to nawet pnem drzewnym, jedne pełne wspaniałych róż *Maréchal Niel*, drugie skromnych kampanul, a wszystkie śliczne. Była i teka z kwiatów i lira z róż ponsowych i druga jeszcze z osoblwszych jakichś storczyków, ale mnie najbardziej przypadła do smaku poduszka z bławatków i maków polnych, istne posłanie dla wiochny jakiejś, dla rusalki, o którym zasnawszy śnić można o wszystkim, co nasze... Zapomniałam nawet o Wiśle i wiankach, tak mię zajęły te kwiaty, natrzeć się na nie nie mogłam. To też o mało nie zadusiłam Gołąbki uściskami, tak jej dziękowałam za doznana z jej łaski przyjemność. Radabym aby moje opowiadanie choć trochę wam jej sprawiło, a przynajmniej żeby was przekonało, że wszystko co mię miłego spotka, ceny dla mnie nabiera, gdy się niem z wami podzielę. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy na wieś, ale przysłać mi tam obiecane wasze liściki i odpowiadać wam będę, a tym czasem proszę kochajcie trochę waszą.

Jaskółkę.